

„Cieszyńska Wenecja”

„Cieszyńska Wenecja” to knajpa położona na uboczu. Nie rzuca się w oczy, przytulona do skarpy, na szczycie której znajdują się ruiny amfiteatru. Między skarpią stromo opadającą w stronę Młynówki a samą rzeczką jest niewiele miejsca, więc i knajpa niezbyt obszerna. Pomieści kilku samotnych gadających do siebie mężczyzn po czterdzieście plus dwie, trzy małe grupy osób zajmujących zazwyczaj te same stoliki (uwaga na niewidzialne gołym okiem toposy barowe!). Sama knajpa nie jest ani przytulna (od przytulania są inne miejsca), ani odpychająca. Przebywa się w niej z reguły odpowiednią ilość czasu.

Sama nazwa ulicy – Przykopa nie wzbudza szczególnie pozytywnych skojarzeń (przykopać, dokopać, skopać). Zważywszy, że pochodzi ona prawdopodobnie od czeskiego *příkop*, mamy jednak niemal pewność, że znaleźliśmy się w jakimś historycznym rowie, względnie, co bardziej prawdopodobne w miejscu dawnej fosy. W historii miasta zawsze wymieniana jakoś tak od niechcienia, może trochę wstydliwie. Okolice bardzo malownicza, jeśli nie liczyć pobliskich urządzeń fabrycznych pokrytych metalicznym rdzawym pyłem (Celma) oraz fabryki, z której wybebeszono maszyny (Juwenia), żeby zrobić miejsce na stoiska z ziemniakami, sztucznymi kwiatami, proszkiem do prania i Bóg wie czym jeszcze. „Cieszyńska Wenecja” to knajpa skromna, nienatrętna, raczej niehałaśliwa, ustronna, wpisująca się w estetykę miejsca. Jesienią zasypana liśćmi z drzew, które rosną bezpośrednio nad nią. Latem oferująca orzeźwiający chłód i uspokajający szum rzeczki.

Wieczne powroty z „Cieszyńskiej Wenecji” ulicą Przykopa oświetloną ciepłym światłem, opierającym się o mury okolicznych domków, pozwalają zobaczyć to wszystko, na co w ciągu dnia nie zwraca się bacznej uwagi. Każdy architektoniczny szczegół w postaci uskoku w uliczkę, odpadającego tynku, osuwającej się ku rzeczce barierki, nieuchronnie zapada w pamięć. Chcesz, nie chcesz, zostaje to w Tobie, jakby niewywołana nigdy klisza z pierwszego aparatu fotograficznego NRD-owskiej produkcji (czy ktoś je jeszcze pamięta?). I ten niesamowity połysk granitowej kostki! Uszami wyobraźni słysząc wielojęzyczny gwar sprzed wielu, wielu lat, jazgot półgolej dziatwy brodzącej w Młynówce (widać ją wyraźnie na starych fotografiach!), głośne, rytmiczne

uderzenia młotów kowalskich z pracowni położonych tuż nad samą rzeczką, szum wody napędzającej młyńskie koło. Wyobrażam sobie kobiety robiące pranie, tkaczy pochłoniętych swoją pracą i wiecznie przyprószonych mąką pracowników młyna. I nie wiem dlaczego, Cieszyn zawsze wyobrażam sobie jako miasto skąpane w słońcu.

Właściciel knajpy, pan Tadeusz, to mimo średniego wieku, człowiek starej daty, w najbardziej pozytywnym tego słowa znaczeniu. Elegancki, pod krawatem. Niezwykle ruchliwy, wysoki, pełen energii. Niebywale kulturalny, taktowny. Pod ladą ma takie małe centrum informacji miejskiej. Jakies ulotki z programami imprez kulturalnych i sportowych, jakies gadzety, którymi hojnie obdarowuje turystów. Stojąc za barem sprawia wrażenie, jakby był kapitanem statku, który osiadł na mieliźnie i czeka na przyływ. Ale ten statek nigdzie nie popłynie, no chyba, że jakiś żartowniś przekreśli służę na Puńcówce. I gdy niepóźnym wieczorem Pan Tadek zamyka swój lokal, ma się niezatarte wrażenie, że jest to w życiu całej ulicy ważny moment. A rano, gdy otwierają się drzwi, gdy wynoszone są krzesła, otwierane okiennice, zamiatane liście, przecierane kurze i poranna rosa, wtedy widać wszystko jakby wyraźniej, ostrzej. Tak jak wieczorem. Tylko w ciągu dnia panuje jakiś taki dziwny letarg, nieśpieszność, pobrzękiwanie szkła, odksztuszanie, chrząkanie, ścieranie piany z wąsów. Pan Tadeusz jest tutaj takim „czasorozpoczynaczem” i „czasowstrzymywaczem”.

Nie tak dawno jeszcze, mniej więcej w połowie drogi między dwiema tutejszymi knajpami: „Cieszyńską Wenecją” a „Perełką”, po przeciwnej stronie drogi istniała poradnia dla anonimowych alkoholików. Cóż za wyśmienita lokalizacja, chciałoby się powiedzieć. A może to specjalnie, by ćwiczyć silną wolę? Poza tym 100 złotych temu, kto wie, jak zachować anonimowość będąc alkohikiem w niespełna 40 tysięcznym mieście. Centrum spotkań AA prawdopodobnie nie zniknęło dlatego, że udało się wszystkim za uszy wyciągnąć z nałogu, ani dlatego, że wszyscy nagle pouciekali, bo bali się swojego trzeźwego spojrzenia. Ono normalnie, dzień po dniu porozłaziło się między „Perełką” a „Cieszyńską Wenecją”. Wszystko to przypominało dziecięcą zabawę w dwa ognie. Kolega, który spędził trochę czasu w „Cieszyńskiej Wenecji” opowiadał mi historię tyleż zabawną, co makabryczną. Otóż zauważył, jak pewnego razu do lokalu dla AA weszła mała dziewczynka z lalką. Po kilkunastu minutach wyszła z tą samą lalką, przy czym lalka pozbawiona była głowy. I jakiś czas potem nie było już miejsca spotkań dla AA. Czy ma to jakiś związek z lalką i barami, trudno powiedzieć.

Z wielu zabawnych szczegółów w „Cieszyńskiej Wenecji” fascynowała mnie zwłaszcza jedna rzecz. Mianowicie ostentacyjne zamawianie taksówki przez klientów, o których z dużym prawdopodobieństwem można orzec, że ich emerytura/renta/świadczenia socjalne (niepotrzebne skreślić) wystarczają do piątego, maksymalnie do siódmego dnia miesiąca. Taksówka zamówiona pod inny lokal nigdy jednak nie zwróci na siebie i zamawiającego takiej uwagi, jak na ulicy Przykopa. Głównie dlatego, że każdy samochód przy przejeździe tą wąską ulicą swoją szerokością wymusza na przechodniach chwilowe unieruchomienie, przytulenie do ściany lub do rzeczki. I wówczas ma się wrażenie, że choć przez chwilę jest się najważniejszym. Dla tych kilku chwil szczęścia warto wiele poświęcić. Stąd też całą przyjemność rozciąga się w czasie. Więc gdy nadjedzie zamówiona taksówka, w dobrym tonie jest jeszcze chwilkę posiedzieć przy stole, następnie nieśpiesznie uregulować rachunek, a potem dostojnie usiąść w blaszanej karocy.

Od kiedy knajpa istnieje? Parę razy próbowałem o to zapytać, ale jakoś się nie udawało. Może bałem się odpowiedzi, że dopiero od kilku, kilkunastu lat, gdyż bez trudu byłem w stanie wyobrazić sobie kilkusetletnią historię tego miejsca. I prapraprzodka Pana Tadeusza w roli pioniera cieszyńskiego wyszynku. I dla własnego użytku przyjąłem datę 1608 roku, w którym to doszło do pamiętnego konfliktu między biednymi i bogatymi mieszczanami cieszyńskimi o prawo wyszynku. A była to rzecz niebłaha. Praprzodek Pana Tadeusza na pewno stał wówczas po właściwej stronie.

Radosław Zenderowski

Bar „Kurczak”

Nigdy nie widziałem człowieka jedzącego kurczaka w barze „Kurczak” w Cieszynie. Tam zresztą na ogół nie chodzi się na jedzenie, choć taka możliwość istnieje, o czym informuje przechodniów menu przyklejone do szyby w odpowiednio widocznym miejscu. Tu przychodzi się dla tych paru choćby chwil zawieszenia w śródmiejskim beczasie, w istnym jądrze i spiętrzeniu czasoprzestrzeni małego miasta. Wszystko wokół się dzieje, śpieszy, popędza jedno drugie, a bar „Kurczak” jest niczym tarcza zegara słonecznego. Pozostaje w miejscu wraz ze swoimi stałymi bywalcami, z których każdy odgrywa rolę jakiejś godziny, siadając przy ulubionym stoliku (jak niegdyś panowie Iwanek, Sznapka czy Kisiel). A słońce przesuając się z jednego kąta w drugi, oświetlając zmęczone i zamyślane twarze, wskazuje przechodniom czas. Zawsze prawidłowy, choć nie każdy potrafi to docenić, mijając obojętnie bar na rogu. Wnętrze baru zza firanek jest praktycznie niewidoczne, za to jego otoczenie, patrząc od wewnątrz – jak najbardziej. Idealny punkt widokowy. Posiedzieć, popatrzeć jak się ludzie śpieszą i pomyśleć: po co to wszystko? *Memento mori*, ale wcześniej – *memento knajpa zamknięto* (kto wie, która perspektywa bardziej przerażająca). Bar „Kurczak” to takie małe, niedocenione obserwatorium śródmiejskiego mikrokosmosu. W barze jest zimno w zimie i chłodno w lecie. Chłód konserwuje i nie przyspiesza rozkładu. Jest to jednak chłód, który nie wygania do domu. Przeciwnie. Zniewala i zespala człowieka z barem. Każe obserwować otoczenie.

Przed wielką wojną knajpa nosiła nazwę „U Mentelka” (od nazwiska właściciela), choć ludzie częściej używali wulgarnej nazwy sugerującej, że bar mieści się w okolicach jednej z nieprzeznaczonych do powszechnej konsumpcji części krowiego ciała. Po wojnie z okien baru można było obserwować pojazdy tankujące paliwo z ręcznej pompy umieszczonej w okolicy dzisiejszych Delikatesów. W latach 50. zeszłego i niezbyt chwalebego wieku, miało miejsce przejęcie lokalu przez Powszechną Spółdzielnię Spożywców i zmiana nazwy na „Tempo”, czyli coś w rodzaju PRL-owskiego *fast foodu*. Był to typowy bar „przelotowy”, w którym ludzie w pośpiechu zaspokajali swoje potrzeby w drodze do dworca kolejowego czy autobusowego, w przerwie między po-

siedzeniami sądu, w oczekiwaniu na załatwienie jakiejś urzędowej sprawy. Wystrój lokalu był bardzo prosty, żeby nie powiedzieć – zapraszająco-wypraszący, przynaglający. Wysokie stoliki i miejsca stojące były niczym boksy startowe. Każdy czekał na swoją kolejkę, dojadł, dopijał i startował. Nie to co teraz, oaza spokoju, przeciwieństwo gonitwy. Od lat 80. lokal prowadzony jest przez państwa Małgorzatę i Krzysztofa Brodów. W latach 90. ub. wieku następuje zmiana nazwy lokalu z „Tempo” na „Kurczak” (prawdopodobnie z uwagi na fakt, iż serwowano w nim potrawy barowe z drobiu).

Chrzęst klucza w barze „Kurczak”, niby niesłyszalny, jest w rzeczywistości niczym dzwon kościelny zapraszający wiernych na nabożeństwo. Bar otwierany jest wyjątkowo wcześnie, w niedzielę już o godz. 8:00, w porze porannych mszy w okolicznych kościołach, w połowie czasu między mszą w kościele farnym i w kaplicy u Sióstr Bo-romeuszek. Na godzinę przed donośnym dzwonem z Kościoła Jezusowego. I większość wiernych przechodzi wówczas obok tego przybytku. Franciszkanin w brązowym habicie po porannej mszy w kaplicy też przechodzi o 8:25 obok. I ta przejściowa obecność świętujących w swoich świątyniach, niejako niechcący uświęca także i to miejsce. I nikt nie strzepuje pyłu ze swoich sandałów, przystanąwszy przy barze. To uspokaja sumienia siedzących wewnątrz.

Na przeciw „Kurczaka” stoi posąg Chrystusa Króla. Prawda, plecami do baru. Ale nie dlatego, jak sądzę, że Chrystus Pan potępia to miejsce. Przeciwnie. Przyjdzie bowiem taki dzień, że nie pierwszy przecież raz, zgorszy On uczonych w piśmie, oczarowanych swą religijną dostojnością, różnych dewotów modlących się o powolną i nieszczęśliwą śmierć dla swoich wrogów. Modlących się do siebie o siebie. I zasiądzie do stołu z pijakami. I oni – jestem tego pewien – o nic nie będą pytać, tylko rozplaczą się jak dzieci. I chwyciwszy Jego stóp będą Go błagać o miłosierdzie. I tak im się będą brody z emocji trzęsły, że ledwo będą mówić. A Szełfowa przyniesie kufel zimnego Brackiego, a On go ze smakiem wypije. I będzie kolejne zgorszenie! Bo kto jak kto, ale Chrystus jak chodził po świecie, to ino gorszył i gorszył. Tych, którzy byli przekonani o swojej doskonałości i nieomyślności. Tych samobeatyfikujących się każdego dnia, w przeciwieństwie do samokrzyżujących się drobnych pijaczków. Oni go przyjmą bezwarunkowo. On ich ocali. Poddają zaległe butelczyny, a pieniądze tym sposobem uzyskane, oddadzą ubogim i pójdą do Królestwa Niebieskiego!

Trudno w barze „Kurczak” spotkać niebywalca. W większości są to starzy knajpiani wyjadacze. Niekoniecznie piją. Nie zawsze jest za co. Ale siadają przy stoliku, palą papierosa, obserwują otoczenie, raz po raz zerkając do krzyżówki, którą rozwiązują od niechcienia. Od połowy miesiąca trwa wyczekiwanie na emeryturę lub rentę. Rodzaj knajpianego czuwania, modlitw o święty spokój do końca miesiąca, o ukojenie skołatanych nerwów, o to, żeby się ZUS nie spóźnił nawet o dwie minuty. I żeby bankomat okazał się być człowiekiem, a nie bezduszną maszyną wypływającą paskudny komunikat o braku dostępnych środków. Potem następuje karnawał, kilkudniowy festiwal pełnego portfela. Znow można sobie przypomnieć jak wyglądali i nazywali się najwięksi władcy Polski. Za Mieszka I są trzy piwa, a za Bolesława Chrobrego sześć i jeszcze będzie reszta. Kazimierz Wielki i Władysław Jagiełło są od czynszu. Ich lepiej nie ruszać. Raz rozmienieni na Mieszków i Bolesławów, nie zapłacą już za mieszkanie. Atmosfera następnie przygasa i to nie stopniowo, z wolna, lecz nagle, spodziewanie i okrutnie. Dokonuje się wówczas swoista autohibernacja, autozawieszenie, spowolnienie procesów życiowych. To oczywiście tylko część klienteli, ale jakże sympatyczna. Inni, w swojej regularności przychodzenia i spożywania, z odliczonymi na każdy dzień pieniędzmi, są jakoś nudni, nieinteresujący (przynajmniej dla mnie).

Pani Anna i Pani Teresa spoglądają na każdego gościa tak uroczo i miłosiernie, że należy się tym Paniom jakieś odznaczenie państwowe, a przynajmniej resortowe. Po jednej stronie Górnego Rynku są Siostry Boromeuszki, po drugiej stronie Siostry Miłosierne od Kurczaków. Wiedzą kiedy rozczulić, a kiedy ofuknąć i przywołać do porządku. Takiej psychologii nie da się wystudiować. To się ma w sobie, albo się tego nie ma. To prawie zakonne powołanie. Dwie miłosierne siostry pośród pogubionych życiowo kurczaków, nawiedzających bar w nadziei, że stanie się on ich świątynią, ukojeniem, usprawiedliwieniem i ucieczką jednocześnie. Na życzliwe spojrzenie obu pań można zawsze liczyć. Na dobrą radę i dobre słowo również. A pan Andrzej zawsze będzie mógł zostawić w depozycie wytartą reklamówkę z gazetą, krzyżówkami, kawałkiem chleba i słoikiem zdobyczej zupy. I wszystko to odbędzie się bez jednego słowa. Jakież to piękne. W Co-Nie-Co niemożliwe. Chrońmy nasze skanseny!

Radosław Zenderowski